Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 12.
dnia 20. Lutego 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

Podczas gdy Krystyna takie robiła uwagi, Ryszard ścieżkami polnemi do wsi wraca. I on myśli o pięknej dziewicy, którą tak niespodziewanie zastał na Ekonomówce. Co to za jedna, zkąd się tam wzięła? Zajęty nauką i swojemi sprawami, tak mało znał stosunki w okolicy, że nawet nie wiedział czy Stern ma córkę. Jego samego widział kilka razy u ojca, a ostatni raz u starosty, lecz co do córki, tej mu nikt nigdy nie pokazał. Dawniej, gdy rok rocznie na kilka miesięcy do domu przyjeżdżał, Róża była na pensji i wtedy o niej nie mówiono, w ostatnich zaś latach, Ryszard, jak wiadomo, ciągle w Paryżu mieszkał, żadną więc miarą nie mógł tej zobaczyć, która w tym czasie z dziecka na dziewicę wyrosła.

Najprawdopodobniej, mówił sobie w duchu, musi to być jakaś panienka z miasteczka... Może w rzeczy samej bardzo dobra i miłosierna, a może tylko ekscentryczna, która w ciasnem kółku rodzinnem nie mogąc znaleźć pokarmu dla duszy wrażliwej, szuka go po wsiach epidemją nawiedzonych. Cokolwiekbądź, nie da się jednak zaprzeczyć, że ta osoba jest bardzo piękną i dystyngowaną. Postawę ma królowej, a oczy! Ach! te oczy gdzieś aż do głębi mojej duszy zaglądały...

Stanął i obrócił się mimowolnie. Z Ekonomówki wybiegł najpierw pies czarny, za nim ukazał się słomiany kapelusik i jasna sukienka. Podążyła ku kładce.

Choćby w umyśle naszego przyjaciela zrodziło się nawet jakie przypuszczenie co do właściwego pochodzenia podziwianej niedawno panienki, musiałoby pierzchnąć na widok tego psa, który jej towarzyszył. Bo czy słyszano kiedy u nas, aby żydówka chodziła z psem i do tego tak olbrzymim? Zresztą może i z tego powodu Stern Ryszardowi na myśl nie przyszedł, że w tych czasach niechętnie zaprzątał on sobie głowę takiemi rzeczami, które mu przykrość sprawiały. Do tych zaś należała w pierwszym rzędzie myśl o żydach. Nie lubiąc ich od dziecka, a nauczywszy się ich bać za granicą, gdzie sprawa żydowska rozjaśniana przez ludzi znakomitych weszła na porządek dzienny, tak dalece, że naprzykład Niemcy nierównie dziś więcej nią się zajmują, niż swoją jednością; widząc nareszcie, jak okropnie kraj jego jęczy pod uciskiem rasy semickiej, zaczynał okiem coraz niechętniejszem spoglądać na tych przybyszów bez ojczyzny, których Bogiem jest najzimniejszy realizm. Miałże więc o nich myśleć jeszcze i teraz, gdy z wszystkich stron dolatywały go jęki chorych, płacz dzieci i kobiet zawodzenie?

Skoro znikła za kładką, jakiś czas stał jeszcze jakby w oczekiwaniu czy mu się gdzie nie pokaże, lecz gdy go to zawiodło poszedł do Starejwsi.

Po południu, na kwadrans przed piątą, był już na Ekonomówce i pod pozorem że chorego musi dobrze wybadać, zabawił do szóstej. Nie przyszła... Sam nie wiedząc czemu, był niespokojny i często się oglądał. Pani Krystyna, która małomowność chętnie do swych cnót zaliczała, aż w miejscu ustać nie mogła, tak ją to niepokoiło, że młody człowiek o nic nie pyta. Ona przeciwnie chciała, żeby ją badał, jak się owa piękna nieznajoma nazywa, a wtedy kto wie czy pod

wielkim sekretem, i wziąwszy wpierw od niego słowo uroczyste, że jej nie zdradzi, nie byłaby mu jej nazwiska wyjawiła. On tymczasem półsłówkami zbywał jej zagadywania i zostawiwszy choremu nowe lekarstwa, wyszedł w kwaśnym humorze.

I humor ten trwał aż do godziny 9tej dnia następnego, o której znowu przyszedł na Ekonomówkę. Gdy tym razem z daleka zobaczył psa w furcie stojącego, uśmiechnął się i krok zdwoiwszy biegł do pacjenta. Zdawało mu się nawet, co jak dotąd było u niego rzeczą nadzwyczajną, że mu serce silniej uderzało... Miałożby to znaczyć, że go coś wzruszyło?

Róża siedząc przy łóżku chorego, rozmawiała z Krystyną. Nie zdjęła jednak ani kapelusza ani rękawiczek. Wyglądała jak osoba, która przyszła z wizytą. Wchodzącego młodzieńca przywitała grzecznie lecz chłodno. On atoli zamiast się tego przestraszyć, podszedł ku niej śmiało i jak dobrej znajomej rękę jej podał. Nie tylko swojej nie cofnęła, nawet za złe mu nie wzięła, gdy ją może dłużej w swej dłoni zatrzymał, niż tego przywitanie wymagało.

— Jak widzę brak pani wytrwałości — swobodnie przemówił — boś wczoraj drugi raz nie przyszła... Bojąc się byś się pani nie chciała na przyszłość zaniedbywać, najdokładniej pani codzień powiem, co będziesz miała czynić rano przy chorym a co popołudniu, inaczej gotowibyśmy się zmienić w dyletantów, którzy swoich obowiązków serjo nie biorą.

— Ja na moje zapatruję się bardzo poważnie, lecz zdaje mi się, że tam gdzie pan jesteś, jam niepotrzebna.

— Przeciwnie! Alboż pani nie powiedziałem wczoraj, że pod okiem takiej siostry miłosierdzia wasz pacjent prędzej wyzdrowieje? Tak w to wierzę, że gdybym tylko był pewny równej opieki, nie bałbym się sam najcięższej chorować.

Mówiąc to, spoglądał na nią okiem tak tkliwem, że Róża sama niewiedząc jak się to stało, żywo zawołała:

— Czyż nie lepiej być zdrowym i mieć opiekę?

— O! stokroć lepiej pani! — potwierdził z uniesieniem.

Żałowała słów, które się jej niebacznie przez usta wymknęły, byłaby je nawet chętnie cofnęła, lecz słowa tak już głośno brzmiały w sercu młodego człowieka, że nie dały by się niczem tam przytłumić.

Zbadawszy stan chorego, Ryszard zaczął znowu rozmawiać z piękną siostrą miłosierdzia, która po krótkim oporze przyrzekła powodować się jego woli. I nawet nie powiemy, by jej ta kapitulacja wielką przykrość sprawiła. Przeciwnie, podpisanie warunków i złożenie broni nastąpiło wśród uśmiechów i zapewnień, że byle to wyszło na zdrowie choremu, chętnie dwa razy dziennie będzie zachodziła do Ekonomówki.

W miarę jak się ośmielała, robiła się mowniejszą, nawet dowcipną. Ryszard słuchał jej z przyjemnością; żartował gdy mu się w czem sprzeciwiała, i nie mógł się nadziwić zkąd pod Ludaczowem, w miejscowości tak oddalonej od ognisk cywilizacyjnych, mogła wziąć się istota, mająca nietylko śliczną twarzyczkę, lecz także serce piękne i główkę rozumną. Mówili o wszystkiem i o niczem, jak dwoje młodych a nieznanych sobie ludzi, którzy nie robiąc sobie żadnego przymusu, chętnie swoje serca nawzajem wylewają.

Od tego spotkania widywali się już stale codzień dwa razy. Ilekroć ona pierwsza przyszła, czekała na lekarza i dyspozycje; jeźli on pierwej się zjawił nie oddalił się póki siostra miłosierdzia nie przyszła. Dzięki tej opiece podwójnej, choremu zaczynało się polepszać, otwierał oczy, zdawał się rozpoznawać ludzi i przedmioty. Widząc to kucharka płakała z radości.

Ryszard dotąd nie wiedział, jak się nazywa jego piękna znajoma. Przypadkiem od niej samej usłyszał że ma imię Róża, i to mu wystarczyło. Wprawdzie kilka razy chciał o nią Krystynę zapytać, lecz jakoś do tego nie przyszło. Zresztą musimy wyznać, że jakkolwiek nie był marzycielem, lubił i on wszelką tajemniczość, która pobudzając wyobraźnię pozwala wiele się domyślać. Najzupełniej mu wystarczało że ją widywał, że się bawił w jej towarzystwie, że go zachwycała, a jakie było jej nazwisko, cóż go to na razie mogło obchodzić.

Tak minął cały tydzień. Choremu znacznie się polepszyło i lekarz nie wątpił o rychłem jego wyzdrowieniu. W niedzielę rano lało jak z cebra. Róża nie przyszła. Nasz przyjaciel był smutny do południa; dopiero między godziną 1 a 2 słońce się pokazało. Zaledwie mógł do 5tej doczekać. Gdy z sercem bijącem wszedł do Ekonomówki za-

stał tam Różę. Zapowiedziała mu jednak z oczkami zasmuconemi, że tego dnia musi prędzej do domu wrócić. Po kwadransie swobodnej rozmowy młody człowiek odprowadzał ją jak zwykle ku kładce, zkąd atoli dawniej zawsze powracał, gdyż go o to prosiła. Tym razem miało być inaczej.

— Przepraszam cię panno Różo — rzekł — ale choćbym się miał na twój gniew narazić, nie puszczę cię dziś samej na kładkę. Widzisz pani jak w skutek deszczu oślizła w samym środku?

— Nie boję się! — energicznie zawołała, jednę nóżkę na kładkę stawiając.

— Ale ja się boję! — odparł za rękę ją przytrzymując.

W oczy mu spojrzała i jak niewolnica rozkazom pana posłuszna, z kładki nóżkę cofnęła.

— Jak to pięknie pani, że mi się nie sprzeciwiasz. Teraz ja pójdę pierwszy i rękę ci podam. W ten sposób przejdziesz bezpiecznie.

— A jak pan się pośliźniesz?

— Wtedy razem do wody wpadniemy.

— A więc dobrze!

Może znowu tego okrzyku żałowała, lecz niestety był już wymówiony. Ryszard jak grzeczny kawaler podał jej rękę i bokiem szedł pierwszy po kładce. Szczęśliwie doszli do środka. Kładka, jak wiadomo, kołysała się w tem miejscu; gdy naraz dwie osoby na niej się znalazły, kołysanie większe się zrobiło, skutkiem czego Róża utraciwszy równowagę na bok się przechyliła i o mało do wody nie wpadła. Ryszard przytomności nie tracąc chwycił ją w pół i nadludzkiem wysileniem w powietrzu zatrzymał. Potem zwolna, ostrożnie, postawił ją znowu na kładce.

Krótko, ach! krótko na jego piersi spoczywała, a jednak gdy się po drugiej stronie żegnali, oboje tak jakoś byli rozstrojeni, tak spojrzeń swoich unikali, jakby na tej kładce zdradzieckiej w ich sercach obudziło się coś, czego jeszcze sami nie rozumieli...

Zrozumiał za nich garbus. Ten śledząc tego dnia Ekonomówkę widział jak ztamtąd wyszli Ryszard i Rózia. Zaniepokojony skrył się za płot pierwszego domu w Woli Ludaczowskiej, zkąd najdokładniej mógł wszystko widzieć. I widział jak on ku niej się nachylał, jak ona odpowiadając oczy ku niemu podnosiła, jak ją na kładkę wprowadził, widział nareszcie, jak ją w powietrzu zawieszoną do swego łona przyciskał!

Zatrząsł się cały i z głuchym jękiem oczy sobie zasłonił.

Tego wieczora pan Stern napróżno prosił, by mu córka na odmianę zagrała walce *Indigo*. Róża wymówiwszy się bolem głowy, zamknęła się w swoim pokoiku, i cichemi łzami szczęścia późno w noc płakała.

ROZDZIAŁ X.

NASTĘPSTWA DOBROWOLNEJ KURATELI.

Układ z panem Lachockim został zawarty z wszelkiemi formalnościami i spisany u rejenta. Pan Gozdawa przystał na warunki podane przez sąsiada i dokument podpisał, wpierw go nawet uważnie nie odczytawszy. Lecz tego nie potrzebował. Rejent mąż znany z prawości charakteru, nie byłby pozwolił na żaden podstęp, a co do pana Lachockiego, ten także nie był zdolnym do oszustwa. Chociaż ci i owi nazywali go to dusigroszem, to „financministrem“ to nareszcie krętaczem, on w gruncie był człowiekiem uczciwym i tylko tę jednę miał wadę, że wśród szlachty bądź całkiem, bądź do połowy zrujnowanej, jeden miał ziemię bez długów i w dodatku gotówkę w kasie. Tej to ciężkiej wady większość nie mogła mu przebaczyć i ztąd gadaniny, plotki, nawet oszczerstwa. Pan Lachocki wiedział co o nim mówią, wszelako nie wiele sobie z tego robił, co złośliwych do rozpaczy doprowadzało. Gdyby się gniewał byliby powtarzali: Prawda w oczy kole! a ponieważ milczał, więc drwiąco zapewniali: Nie dziwota! nie ma ambicji. Takie to niestety ludzkie sądy.

Obok dworu w Starejwsi była obszerna oficyna, w której znajdowały się pokoje gościnne. Tam pan Lachocki miał swoją kancelarję. Stale tu nie mieszkał, tylko co drugi dzień przyjeżdżał, aby rządcy, którego w Starejwsi ustanowił, wydać dyspozycje. Co do rachunków, te sam prowadził, i jak po tak dobrym gospodarzu można się było spodziewać, prowadził je z wielką dokładnością.

Układ zawarty między nim a panem Gozdawą był taki: Pan Lachocki obejmuje Starąwieś w administrację na lat 12 i w tym czasie obowiązuje się spłacić wszystkie długi na majątku ciążące, poczem zwróci go właścicielowi. Gdy jednak te długi były dosyć znaczne, a prócz tego i majątek sam wielkich wkładów wymagał, więc pan Gozdawa,

aby sąsiadowi ułatwić zadanie, zrzekał się na lat 12 wszelkich dochodów, wymawiał zaś sobie tylko przyzwoite utrzymanie we dworze i 800 guldenów rocznego dodatku. Gdy rejent kontrakt spisywał, zwracał jego uwagę na niskość kwoty, jaką miał rocznie otrzymywać, lecz pan Gozdawa prędko go zakrzyczał.

— Komornik mosterdzieju myśli, że ja Bóg wie ile potrzebuję, a ja już nie oddziś żyję jak anachoreta... Fajka tytoniu znowu nie taka droga, a na garderobę sercuńciu także wiele nie wydaję. Minęły te czasy mosterdzieju, kiedy się człowiek stroił i do panien smalił cholewki. Hej! Hej! wtedy to się coś wydawało... Nie bój się kochany komorniku! Dam gardło że z ośmiuset guldenów rok rocznie jeszcze coś złożę.

Pan Gozdawa mówił jak wierzył i z tym, ktoby mu się był ośmielił sprzeciwić, byłby gotów rąbać się i strzelać.

W pierwszych dniach stosunki między administratorem a właścicielem były serdeczne, do czego przyczyniło się wielce postępowanie samego Ryszarda, który wiedząc jakie usługi oddaje im pan Lachocki, był dla niego na każdym kroku uprzedzająco grzecznym. Pan Lachocki był ze swej strony także nad wyraz słodki, pamiętamy bowiem, jakie właściwie zamiary do Starejwsi go sprowadziły. I słuszność nakazuje wyznać, że nie miał innych. Ten i ów może przypuszczał, że chce zarobić na administracji, znający atoli bliżej stosunki musieliby przyznać, że układ z panem Gozdawą zawarty, był tylko dla niego dogodnym, nigdy zaś dla pana Lachockiego. Za trudy i możliwe kłopoty nie chciał brać pieniędzy, których miał dosyć; on marzył jedynie o wyswataniu swojej córki za Ryszarda, a zamiarów takich nie można przecie nazwać nieuczciwemi. Zresztą trudno żądać żeby ludzie bezinteresownie dla drugich się poświęcali. Bezinteresowność jest rzadką cnotą, przymiotem istot wybranych, do których pan Lachocki nie miał nawet pretensji należeć.

Jasny widnokrąg zaczął jednak dość prędko niebezpiecznie się zachmurzać. Oto pewnego poranku pan Gozdawa pijąc kawę dowiedział się od Franciszka, że rządca na rozkaz swego pryncypała dniem przedtem żydom z Ludaczowa sprzedał wszystkie indyki, zostawiając ledwie kilka młodych na pieczyste. W pierwszej chwili nasz przyjaciel chciał zrobić awanturę, indyk bowiem z truflami należał do jego potraw ulubionych; wszakże w sam czas nadbiegł jeszcze Ryszard i burzę zażegnał. Bez trudności wytłumaczył ojcu, że rządca mógł prawnie indyki sprzedać i ojciec jakoś się uspokoił. Jednakże robak niezadowolenia zagnieździł się już w duszy szlachcica. Odtąd tylko czekał, czy go nowa nieprzyjemność nie spotka. I spotkała go dość rychło, złe bowiem nigdy późno nie przychodzi. W kilka dni doniósł mu znowu Franciszek, że w stajni dworskiej zostały tylko dwa konie do wyjazdu, wszystkie zaś inne rządca sprzedał, a za pieniądze ztąd uzyskane kupił kilkanaście fornalek. Tego było już za wiele panu Gozdawie.

Korzystając z nieobecności syna, który właśnie w mieście bawił, wpadł do rządcy i zrobił mu formalną awanturę. Ten wytrzymał spokojnie wszystkie pociski i dopiero gdy szlachcic mówić przestał, poszedł do biurka, wyjął z niego kontrakt i pokazując palcem na ustęp 6 rzekł:

— Wielmożny pan gniewa się niepotrzebnie, tymczasem ja jedynie to czynię, co mi mój pan każe, a mój pan to tylko każe, na co mu kontrakt pozwala. W nim stoi czarne na białem, że wielmożny pan ma mieć zawsze do wyjazdu parę koni cugowych, lecz żebyśmy utrzymywali aż pięć par cugowych i cztery wierzchowce, o tem nie ma tu ani słowa.

— Więc mosterdzieju wyście tu takie rzeczy napisali? Pokaż mi acan ten głupi kontrakt.

Rządca wręczył go panu Gozdawie, on zaś przeczytawszy zwrócił go mówiąc:

— Jest, prawda... ale choćby mi kto w łeb strzelił mosterdzieju, nie pamiętam czyśmy o tem mówili.

Zaledwie uspokoił się po tej drugiej nieprzyjemności nadeszły nowe, których szczegółowo nie będziemy opowiadali, gdyż nie były ani przyjemne ani pouczające. Wypływały zaś wszystkie z jednego źródła, mianowicie z błędnego stanowiska, z jakiego pan Gozdawa zapatrywał się na pana Łachockiego. Ponieważ nie przestał być Starejwsi właścicielem, więc ciągle mu się zdawało, że jedynie on może tu rozkazywać, wszyscy zaś inni powinni jego rozkazy ślepo wypełniać. Pana Lachockiego uważał przeto za swego administratora, lub raczej za kasjera, który miał dawać pieniądze, orać, siać, młócić i robotników płacić, lecz o nic

więcej nie pytać. Dopiero jak się przekonał, że ten stojąc twardo przy swoich prawach, na włos nie ustąpi, z roli zaczepnej przeszedł w odporną, w której przemyśliwał nad sposobami jakby się pozbyć swego wroga. Tak jest niestety, tego, który go miał ocalić, on w głębi duszy poczytywał już za największego swego nieprzyjaciela.

Do rozjątrzenia i tak już naprężonych stosunków przyczynił się w wielkiej mierze sam pan Lachocki. O ile z początku był słodkim i we wszystkiem chętnie ustępował, o tyle teraz zrobił się zimnym, i praw swoich bronił zawzięcie. Pochodziło to ztąd, że w najnowszych czasach utracił nadzieję wydania córki za ostatniego z Gozdawitów. Ryszard, jak na człowieka z dobrem wychowaniem przystało, był u niego raz z wizytą, lecz do panny ani się zbliżył i potem więcej się nie pokazał. Prócz tego pan Lachocki dowiedział się od swego rządcy, że Ryszard codzień dwa razy odprowadza jakąś panienkę do kładki... Widząc rozbite swoje plany, począł żałować, że niepotrzebnie wziął się do interesów sąsiada, zaczem poszły rozdrażnienie i zgryźliwość, które jak wiadomo są rodzicami wszelkich nieporozumień. (C. d n.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Pan de Rosey nie mówił nigdy z panią Bardin o swoich interesach rodzinnych. Nie płynęło to z dumy, ale więcej z obawy, by nie budzić wspomnień, porównań w sercu wdowy, matki tak czułej, bezdzietnej, która mu nic nie odsłoniła ze swego życia; nie zwierzając się zatem, nic żądała też żadnych zwierzeń.

Teraz sposobność nastręczała się wybornie. Pan de Rosey jednak czekał jeszcze.

Skoro się drzwi zamknęły, wskazał fotel pani Bardin i sam usiadł, przerzucał chwilę papiery, rachunki domowe, szukając niejako jak sędziowie na audjencji, najstosowniejszego zapytania. Nie znalazłszy jednak żadnego, prezydent wypytywał ogólnie o zdrowie wdowy i dzieci.

Pani Bardin, także więcej pomięszana jak zwykle, odpowiadała z roztargnieniem, z przymuszonym uśmiechem, dziękując za łaskawe zapytanie, i zapytała o panią de Rosey.

— Dziękuję pani — odrzekł sędzia — jest dosyć zdrową.

Pomimo woli zaakcentował to „dosyć.“

— Czy była cierpiącą? — zapytała ciekawie pani Bardin, chcąc głosem wyrazić współczucie, a zarazem przyspieszyć ową chwilę, której oboje pragnęli i obawiali się.

— Nie — odpowiedział pan de Rosey — ale miała małe zmartwienie, przeciwności....

Przestał, zląkł się mówić dalej i po chwili znowu dodał:

— Ale i pani zdajesz mi się jakoś zmęczoną.

— Ja?

— Nie zaprzeczaj pani. Wyrzucam sobie często, że nie daję pani wypoczynku. Jestem egoistą. Moglibyśmy przecież panią zastąpić tutaj przez jakie dwa tygodnie?... Musimy razem pojechać do Paryża. Pani odpoczniesz.... Moja żona szczęśliwą będzie powitać panią... Fryderyk tak często mówi swej matce o pani!

— Dziękuję panu, ja nie jestem zmęczoną i nie można mnie tu zastąpić.

Pani Bardin zarumieniła się lekko, a pan de Rosey uląkł się, że ją uraził. Mówił trochę gorączkowo, aby podtrzymać rozmowę. Nie nalegał więcej, ochłonął cokolwiek i znów przerzucał papiery.

— Czy pani niema nic ważnego do zakomunikowania? — zapytał, zapominając, że on to żądał rozmowy.

— Nic, panie, nic, a pan niemasz dla mnie jakiego rozkazu?

— Rozkazu? Nigdy nie mam go dla pani. Nie. Jak zawsze, tak i teraz muszę powinszować pani, że tak wybornie dom prowadzisz. Pani jesteś doskonałą opiekunką... Te kochane dzieci zdają się być tak szczęśliwe.

Prezydenta głos zadrżał, gdy mówił: „dzieci.“

Pani Bardin pobladła i usta jej zadrżały, a wszakże mówiono tylko o dzieciach zakładu.

Scena byłaby się stała pocieszną, gdyby nie była wzruszającą. Owe dwie dusze wzniosłe chciały się zbliżyć do siebie, a bały się dotknąć, aby się nie złamać. Unikali tego, czego sobie życzyli. Pani Bardin była zdecydowaną zostać, pytać; ale niby odsunęła fotel, by powstać. Pan de Rosey powstrzymał ją spiesznie.

— Zostań pani, nie skończyliśmy.

Znów lekko się uśmiechnęła. On nie skończył tego, czego nie zaczął. Chciała niecierpliwie zapytać: „Mówże mi pan o miłości Fryderyka!“ Nie śmiała; przeczuwała, że sam o tem zacznie; przyspieszała owo ociągające się zwierzenie magnetyzmem życzenia, które sprowadza na usta drugiego słowa, których wyczekujemy.

— Pan de Rosey ulegał wpływowi jej twarzy słodkiej,

tajemniczej. Spuścił oczy pod wzrokiem ócz niebieskich, spoglądających tak głęboko i zachęcających do wylania. Potarł ręką o fotel i nagle zaczął jak tchórz, który od razu rzuca się naprzód:

— Jestem pewien, że Fryderyk już zwierzył się pani?

— Tak, panie.

— Mówił o wszystkiem?

— Prawie o wszystkiem.

— Więc pani wiesz, czem sobie nabił głowę?

Pan de Rosey zapytywał z szorstkością sędziego, naturalnie mimowoli, dotknęło to jednak panią Bardin. Nie spieszyła się z odpowiedzią, aby jej wartości dodać, wreszcie głosem stanowczym wyrzekła:

— Wiem, że pan Fryderyk kocha panienkę z dobrego domu i jest nawzajem kochany.

Pan de Rosey zmrużył oczy, co okazywało, że cierpi.

— Czy powiedział pani resztę? — zapytał.

— Nie tłumaczył się dalej; dał mi tylko poznać jednem słowem, że to małżeństwo nie podoba się panu... ani pani de Rosey...

— Ah! gdyby to małżeństwo było możliwem! ale jest niemożliwem.

Pani Bardin zapomniała się i krótko zapytała.

— Niemożliwe! dlaczego?

Pan de Rosey westchnął.

— Czy pani znasz rodzinę panny de Moranes?

— Znam, panie.

— W takim razie pani wiesz.

— Wiem, że pan de Moranes jest uczonym, że posiada znaczny majątek, że Blanka...

— W istocie, tak na imię tej młodej dziewczynie — przerwał pan de Rosey. — Czy pani ją widziałaś?

— Kilka razy.

— Czy prawda, że jest ładną?

— Urocza!

Pani Bardin, która się zarumieniła, wymieniając imię Blanki, teraz rozpromieniła się, gdy dodała jej przymiot „urocza.“ Wybornie broniła sprawy Fryderyka, tyle wlała czystości i pieszczoty w ten wyraz. Pan de Rosey poruszył głową.

— Widzę, że Fryderyk zaraził panią swoim zachwytem.

— Mówił mi o swej miłości, którą rozumiem.

Głos pani Bardin spoważniał.

— Swej miłości — powtórzył sędzia — oto słowo, jakie młodość rozrzuca. W tych poczciwych sercach pierwsze uczucie jest poetyczne ale i krótko trwałe jak sen. Kochają właśnie dla miłości. Gdy zaś rzeczywistość, rozsądek w grę wejdzie, by sprzeciwić się albo sen rozwiać, wtenczas ból serca jest straszny, to prawda, ale ponieważ nie jest to dobrowolne rozczarowanie ani zawód, ponieważ rana jest zdrową, zabliźnia się łatwo i na nowo śnić się zaczyna. Można umrzeć ze zgryzoty występnej miłości; nie umiera się z mąk, jakie miłość czysta zadaje, bo idealizuje i oczyszcza swą boleść.

Pan de Rosey, ów spokojny urzędnik mówił o poświęceniu miłości, jak gdyby co dzień podobną sprawę sądził z przekonaniem, wiarą i szacunkiem.

Pani Bardin rozwarła szeroko oczy i słuchała, olśniona północnem światłem, które błyskało z duszy nieskazitelnej. Podziwiała go, ale nie była przekonaną. On dostrzegł to i mówił dalej:

— Fryderyk cierpi bardzo i będzie jeszcze więcej cierpiał. Wolę jednak, że cierpi, niż miłość, z którą się ukrywał. Rany ukrywane trudne są do uleczenia. Dołożę wszystkich starań, aby go pocieszyć. Pani mi dopomoże. Zresztą i on jest dumnym i prawym, jak my. Nie powiedziałem mu jeszcze wszystkiego. Ale powiem mu wszystko... a skoro się dowie, że tu honor w grę wchodzi...

Pani Bardin zadrzała, oczy się jej zamgliły; gestem szybszym niż zastanowienie chciała przerwać panu de Rosey a gdy ten zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo, zapytała głosem drżącym, przerażonym.

— A któż pocieszy tę młodą dziewczynę?

— Żałuję jej... Ona niema matki.

Pani Bardin pochyliła głowę opierając się o fotel aby ukryć dreszcze, jakim ulegała.

Pan de Rosey mówił dalej:

— Biedna istota! Nie miała zatem nikogo z sobą w Boulogne, ktoby był przeszkodził tym niebezpiecznym spotkaniom? Pan de Moranes zdaje mi się być człowiekiem bardzo nieoględnym! Ponieważ pani widziałaś tę młodą dziewczynę, możesz mi powiedzieć, czy obraz, w jakim Fryderyk mi ją wystawił, jest wiernym. O! nie mówię o jej piękności, ale zdaje mi się, że musi być słabowitą.

Pani Bardin z trudnością wymówiła: „Tak.“

— Biedne dziecię — mówił pan de Rosey z wzruszeniem. — To okropnie! Ach! gdyby rodzice dający się powodować namiętnościom, mogli przewidzieć pokutę, jaka jest następstwem ich nieoględności. Silimy się pani, aby naprawić błędy nędzy, niemoralności, złego prowadzenia małych niewinnych przestępców. Ci, których naprowadzamy na drogę cnoty, których uczymy pracy, będą później szczęśliwi. Nikomu się nie przypomni, by im przy zawieraniu małżeństw o występkach ojców przypominać. Nawet te występki podwoją ich wartość osobistą. Ale nasze dzieci własne, za to my odpowiadamy aż do końca. Czy to jest duma barbarzyńska? Czy to jest sprawiedliwem?

Pani Bardin ukryła twarz w dłoniach, zapewne aby rozmyślać. Podniosła ją zwolna i rzekła do pana de Rosey:

— Czy pozwolisz pan zawołać pana Fryderyka?

Prezes podskoczył na krześle.

— Ależ wpierw chciałbym słyszeć zdanie pani.

Pani Bardin zachowała twarz słodką i stanowczą.

— Ponieważ zaszczycasz mnie pan swojem zaufaniem i pytasz o radę, sądzę, że lepiej potrafię panu odpowiedzieć, gdy wysłucham pana Fryderyka.

Wyrzekła to wolno, stanowczo, z oczami wzniesionemi w górę, nie patrząc na pana de Rosey.

Prezes nie mógł się opierać. Powstał, skinął grzecznie na znak, że się zgadza, poszedł ku drzwiom i zawołał syna.

Fryderyk nie był daleko. Przechadzał się po sieni, znajdując, że owe kilka minut rozmowy ojca z panią Bardin bardzo długo trwały.

Pan de Rosey serdecznie ale uroczyście odezwał się do niego.

— Mój drogi, mówiliśmy o tobie. Pani Bardin, na której zdaniu polegam i którą wtajemniczyłeś w twe sprawy, chce, abyśmy razem z tobą o nich mówili.

— Dziękuję pani! — wyrzekł Fryderyk.

— Co do mnie — ciągnął dalej pan de Rosey — mogę ci tylko powtórzyć, co ci w drodze powiedziałem i co ci matka pisała. Nie możesz wątpić, że cię kochamy; my nie wątpimy, że nas usłuchasz. Doświadczenie nauczyło nas, że bardzo ważne przyczyny stoją na przeszkodzie małżeństwa, jakiego pragniesz. Miej odwagę poddać się woli naszej.

— A dlaczego żądacie tego odemnie? — zapytał naiwnie Fryderyk.

— Matka wytłumaczyła ci powody.

— Powiedziała mi tylko, że są ważne. Nie wątpię o dobroci mej matki ani o twojej sprawiedliwości ojcze, ale chciałbym jednak lepiej poznać te przeszkody. Zrozumiałem, że idzie tu o jakieś pogłoski, które szarpią dobrą sławę Moranów. Nie wiem, czy tyczące się charakteru, czy honoru pana de Moranes, wiem tylko tyle, że niedosięgły panny Blanki. Chcesz, ojcze, rady pani Bardin. Jestem pewien, że nie mogłaby mi poradzić, abym cię usłuchał bez zaprotestowania.

Fryderyk nie ośmielił się nigdy dotąd mówić z taką otwartością do ojca. Obecność pani Bardin dodawała mu odwagi.

Pani Bardin słuchała wyprostowana, niema, blada. Nie zrobiła żadnego znaku, aby go powstrzymać lub zachęcić.

— Ah pani! — zawołał, zwracając się do niej; — pani wiesz, jak ją kocham; wiesz, że jestem kochany; zachęcałaś mnie do tej miłości.

Pan de Rosey zadziwił się tem orzeczeniem.

— Czy to prawda?

— Prawda! — odparła spokojnie pani Bardin. — Ja tylko miałam na oku ich młodość, ich niewinność.

— Czy pani nieznasz historji pana de Moranes?

— Owszem!

Zdziwienie pana de Rosey podwoiło się.

— Jakto? Pani nie przewidziałaś, że my nie będziemy mogli pozwolić na to małżeństwo?

— Sądziłam przeciwnie, ze pan prezydent de Rosey, fundator tego zakładu, człowiek uwalniający dzieci od fatalizmu, który z winy rodziców na nich ciąży, będzie w stanie położyć swoje imię jakby światło na plamach domu Moranów, aby je zakryć i zniweczyć.

— Słyszysz, mój ojcze, — rzekł Fryderyk z miną tryumfującą, chwytając rękę pani Bardin i niosąc ją do ust.

Pan de Rosey uśmiechnął się cokolwiek smutnie.

— Przechodzisz pani na stronę nieprzyjaciela, pani Bardin!

— Nie, panie; robię rachunek sumienny. To, co myślałam wczoraj, dziś rano jeszcze, waham się myśleć teraz. Żyję tutaj zdala od świata, zapominam o tegoż przesądach i słusznych wymaganiach... Nie miałam słuszności, widzę to. Pan Fryderyk wybaczy mi, że go zachęcałam do marzeń, które zdawały się być dozwolonemi... Co do tej młodej dziewczyny, będzie to moją pokutą, że nie będę mogła otrzymać jej przebaczenia. Jednakże, panie, gdy wszyscy troje razem szukać będziemy, znajdziemy może rozwiązanie tego problematu, który ci się tak trudnym wydaje. Już to dawno temu, zdaje mi się, jak owe złośliwe plotki opowiadano sobie o rodzinie Moranów. Prawie już zapomniano o nich... Gdyby panna de Moranes stała się panią Fryderykową de Rosey, nie mówionoby nic o niej, jak tylko to, co się jej męża tyczy. Któżby śmiał targnąć się niegodnie na jej niewinność i młodość? Ona sama ani przeczuwa jaka niesprawiedliwa hańba cięży na niej.

Fryderyk, który uważnie przysłuchiwał się słowom pani Bardin, nie mógł się powstrzymać od okrzyku zaprzeczenia. Pani Bardin zadrżała na ten głos, spojrzała nań i pochwyciła go za rękę.

— Czy mówiła ci co o swej matce?

— O swej matce, nie; ale cierpi z powodu tej tajemnicy, jestem tego pewien, jeżeli jej nie wyrwiemy z tej boleści, umrze.

Pani Bardin potarła ręką spocone czoło. Zbladła straszliwie i powtórzyła półgłosem, akcentując słowo:

— Umrze!

Fryderyk usłyszał to.

— Tak, umrze. Gdybyście ją byli widzieli, gdy jej mówiłem o zwłoce, o oporze, który spodziewam się pokonać. Powiedziała mi abym się wyrzekł nadziei. Zakazała mi przerażona, dopytywać się o przeszkody. Ale ja nie będę jej posłusznym, bo chcę ją ratować, jeżeli jest na to sposób. Chcę podzielić tę boleść zabijającą, jeżeli mają nas potępić. Ah! ja więcej o niej jak o sobie myślę!... Powiedz mi wszystko, mój ojcze.

Pani Bardin złożyła mimowoli ręce, jakby chciała błagać pana de Rosey, by nie uczynił zadość prośbie syna, ale złamana oparła się niema o fotel.

— Słuchaj więc — rzekł prezydent. — Nie żądam od ciebie, moje dziecię, biernego posłuszeństwa. Już dawniej zostałem nadto ukarany za to, że władzę ojcowską po nad uczucie wyniosłem... Ty sam bądź twoim i moim sędzią. Myślę, że dość poczucia honoru zaszczepiłem w twej duszy, abyś osądził, czy spadkobierca, potomek nieskalanej rodziny urzędniczej, która złożyła wiele ofiar w czasie wojen domowych i rewolucji, ale która nigdy nie zboczyła z drogi obowiązku, może zostać zięciem żony wiarołomnej i męża mordercy.

Pan de Rosey wypowiedział to uroczyście z oczami połyskującemi i wzniesionem czołem.

Fryderyk jęknął boleśnie. Pani Bardin podniosła się, aby wyjść.

— Pan de Moranes morderca? — powtórzył Fryderyk, kładąc główny nacisk na to oskarżenie.

— Tak, a pani de Moranes wiarołomna — powtórzył pzezes głosem urzędowym.

Pani Bardin upadła na fotel i zamknęła oczy. — Pan de Rosey wziął to za oburzenie, które zawładło tą kobietą i wdową, na wspomnienie owego męża gwałtownego i sprawiedliwego, którego zapewnie porównywała z tym, po którym nosiła żałobę.

Prezes żałował, że odezwał się podobnie wobec uczciwej kobiety. Opowiedział więc krótko to, co słyszał o rodzinie Moranów a mianowicie, jak pan de Moranes został zdradzony przez człowieka, którego nazwiska nie znano, jak odkrył zdradę i jak ukarał występnych.

Fryderyk założył ręce na piersiach i z głową pochyloną słuchał chciwie tych słów. Pani Bardin z swej strony zmieniła się w posąg marmurowy, niezdolny być zbrukanym plamami hańby, którą miała sądzić. Z pod rzęs spuszczonych spoglądała tylko na Fryderyka uważając, jakie wrażenie wywierają na nim te szczegóły.

Gdy pan de Rosey skończył:

— Ah! tem więcej teraz kocham Blankę — zawołał młody człowiek.

Pani de Bardin uśmiechnęła się niebiańsko, przesyłając tym uśmiechem macierzyńskim pocałunek Fryderykowi.

Samego pana de Rosey wzruszył ten okrzyk pełen miłości.

— Tak mówił Fryderyk, kocham ją z powodu winy matki, która na nią spada, zbrodni ojca, za którą cierpi; te wiarołomstwa i ta śmierć czynią mi ją tem świętszą jeszcze!

Pani Bardin olśniona tym zapałem, promieniała z radości.

Fryderyk mówił dalej:

— Straszna taka spuścizna; ale pani de Moranes umarła. Nawet prawo uniewinnia umarłych. Ty, mój ojcze, sędzią jesteś, czy byłbyś więcej niewzruszonym, niż prawo?

— Nie jestem nieugiętym, moje dziecię, i dla tego nie jako do sędziego, powinieneś się zwracać do mnie; to ojciec mówi do ciebie; ojciec, rozumiesz mnię? Tak nie można uniewinnić zabójcy; tak — nie można żałować ofiary. Ale nietylko w tem leży przeszkoda!...

— A w czemże?

Pani Bardin zacisnęła usta i pochyliła się ku panu de Rosey!

— Nie jest wcale rzeczą pewną, że winna umarła, — rzekł poważnie prezes. — Ów dramat pozostał w wielu punktach niewyjaśnionym. Nie z błachych przyczyn ranimy twoje serce, moje dziecię. Po twojem pierwszem wyznaniu, rozmyślaliśmy długo z matką co począć; dowiadywaliśmy się; prowadziłem formalne śledztwo...

Fryderyk bladł; pani Bardin zaczerwieniła się i spuściła głowę unikając pana de Rosey, który chciał jej okazać swoją przezorność.

— Więc znalazłeś ojcze panią de Moranes? — zapytał Fryderyk.

— Nie; ale prawie pewni jesteśmy, że nie umarła. Można bezkarnie okłamywać świat; niebezpiecznie jest okłamywać prawo. Niema żadnego aktu zejścia pani de Moranes. Ona znikła bez śladu, ale ani na cmentarzu, ani w urzędzie municypalnym nie wiedzą nic o jej śmierci.

— A więc! jeżeli żyje może odpokutować, oczyścić się. Wszak prawda pani?

Pani Bardin skinęła głową niby potakująco, pan de Rosey wziął to za zaprzeczenie; było to jednak tylko wzruszenie, pomięszanie duszy będącej na torturach może przez przywiązanie do swego młodego przyjaciela.

— Nie wiem czy odpokutowała za to, — mówił sędzia; — jest zawsze dziwnem, że nie próbowała wcale zbliżyć się do dzieci, do córki zwłaszcza.

— To prawda, — zawołał gwałtownie Fryderyk przypominając sobie Blankę samą, smutną, opuszczoną w pałacu ojcowskim. — O! nieszczęśliwa! — dodał zaciskając ręce.

— Ona nieśmiała! — szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem pani Bardin.

— A czego potrzebowała się obawiać? — mówił gniewnie młody de Rosey. — A więc tak, zgadzam się z tobą mój ojcze; ta kobieta jest niegodziwą! A potem?

Pani Bardin zadrżała, pan de Rosey też nie pochwalał gwałtowności syna.

— Uspokoj się moje dziecię — odezwał się z dobrocią; — jeżeli ta kobieta, jak myślę, żyje, trzeba wiedzieć, w jakich warunkach, w jakim świecie żyje? Może żałuje, ale mogła też przeciwnie z nienawiści do męża, który ją uderzył, zapomnieć o swej godności i upaść. Co powiedziałbyś, co zrobiłbyś, gdybyś pewnego dnia, idąc z żoną, spotkał swoją świekrę, prowadzącą się z swym kochankiem?

— Toby się nigdy stać nie mogło! — przerwała pani Bardin.

— Niestety! pani jesteś nadto pobłażliwą. Przypuszczasz pani, że ostatek honoru, wstydu... ale na to nie trzeba rachować.

— Ale jednak jest to możliwe!

— Prawda. Musimy jednak postępować tak, aby się w przyszłości zabezpieczyć. Czy chciałbyś, moje dziecię, naprzód nakazać tej, która twoją żoną ma zostać, aby pogardzała matką? Aby zaparła jej się? Jeżeli posiada tę straszną odwagę, przeciwną naturze, czy sądzisz, że dla tego będzie mniej cierpiała niż dziś cierpi, albo jakby cierpiała gdy ją opuścisz... słusznie? Nie nauczyłem się wszystkiego, ale znam boleści ludzkie. — Najgłębsze pochodzą najczęściej ze słusznego oburzenia naszego. Poddać się niesprawiedliwości jest

męczarnię; ale w pewnych razach wymierzyć sprawiedliwość jest straszniejszą jeszcze męczarnią... Co do nas, których uważają często za zużytych, i że często boleśnie dotknięci jesteśmy, odmawiają nam uczucia serdecznej delikatności... ale mnie się zdaje, że miłość jest potrzebą cnoty i że gdy musimy pogardzać tymi, których mamy kochać, tworzy się w sercu naszem rana nieuleczona, która gangrenuje wszystkie fibry naszego moralnego istnienia. W twoim wieku, moje dziecię, kocha się pomimo wszystkiego, bo bierze się często za miłość to, co tylko jest hipokryzją zmysłów albo złudzeniem naszego poświęcenia. Ale przywiązanie rodzinne, jeżeli przeżyje pogardę, staje się trucizną śmiertelną.

— Tym sposobem, mój ojcze, cokolwiekbądź się stanie, czy ona czy inna zostanie żoną moją, Blanka jest potępioną. Zawsze będzie wystawioną na to, że może spotkać matkę i będzie zmuszoną odwrócić się od niej. A więc! co do mnie, przyjmuję na siebie odpowiedzialność tego niebezpieczeństwa. Czuję, że w takiej chwili podtrzymałbym ją i przycisnąłbym ją tak silnie do mego serca, że ta jej boleść byłaby nową spójnią naszej miłości. Mój ojcze, ty wiesz, jak cię szanuję i jak posłusznym ci jestem; ale to, co mówisz, nie przekonywa mnie i nie wzbrania mi kochać Blanki i zaślubić jej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W OBRONIE OJCZYZNY.

OPOWIADANIE Z WOJNY 1870 ROKU

PRZEZ GRANVILLE-MURRAY.

W miesiącu październiku 1870 r. miasto O. jedno ze znamienitszych i starszych miast francuzkich, przechodzić miało bardzo upokarzającą chwilę. Oczekiwano uroczystego wejścia zwycięzkiej armii pruskiej.

Smutny ten fakt można było przewidzieć już od miesiąca, gdyż nieprzyjaciel szedł z szybkością spadającej lawiny i druzgotał wszystko po drodze.

Jednak mieszkańcy starożytnego grodu, który słusznie chlubił się chwałą dawniej nabytą, prawie do ostatniej chwili nie chcieli wierzyć, aby to mogło być prawdą — do ostatniej godziny nie przypuszczali, że noga nieprzyjaciela przestąpi jego bramy.

Wojskowi wszakże wiedzieli, że miasto nie może myśleć o obronie. Fortyfikacje, w których przed wiekami czteroma miasto wytrzymało oblężenie bardzo wybitne w dziejach Francji, dawno już były zburzone i nikt nie myślał o postawieniu nowych fortów i bastjonów. Nie chcąc więc narażać spokojnych obywateli na okropne skutki bombardowania, garnizon po rozpaczliwej walce z przeważającym go liczebnie nieprzyjacielem, opuścił miasto. Tak więc prusacy, w błyszczących kaskach, ze lśniącemi bagnetami w ręku, posuwali się z wolna przez wązkie ulice starożytnego grodu.

Ranek był szary i mglisty. Ciemne mundury i zmęczone twarze zwycięzców, głucha cisza zgromadzonego na ulicach tłumu i posępny jęk dzwonów (gdyż jednocześnie odbywał się pogrzeb), nadawały obrazowi temu charakter raczej obchodu pogrzebowego, aniżeli tryumfalnego wejścia.

A jednak prusacy rzeczywiście byli zwycięzcami i twarze ich, pomimo zmęczenia, jaśniały wielką dumą z odniesionych tryumfów.

Szli krokiem pewnym i ciężkim, brząkali szablami i ze wszystkiego było widać, że za najmniejszą okazją gotowi są znowu wystąpić do boju.

Było to tak widocznem, że nikt z patrzących nie powątpiewał o tem.

Jednak rzecz dziwna, głównem uczuciem malującem się na twarzach mieszkańców — była ciekawość.

W wilię dnia tego, mer miasta wydał proklamację, błagającą mieszkańców, aby się zachowali spokojnie, aby nie narażali się na smutne następstwa.

Obawy mera okazały się płonnemi.

Tłum gapił się tylko i prawdopodobnie miał małe pojęcie o upakarzającym charakterze tej opłakanej chwili.

Być może, iż w pierwszej chwili, kiedy ukazała się awangarda złożona z oddziału ułanów, kiedy zabrzmiały pierwsze nuty „Wacht am Rhein,“ niektóre twarze pobladły i dał się słyszeć jakiś szmer — lecz wkrótce tłum oswoił się z widokiem wrogów i nienawiść ustąpiła miejsca ciekawości.

W godzinę później, jednostajny widok maszerujących pułków, zatarł nawet ciekawość i tłum zdawał się oczekiwać tylko jakiegoś komicznego epizodu, aby wybuchnąć śmiechem i otworzyć pole żarcikom.

Niepotrzeba było na to długo czekać. Jakiś piechór potknął się i upadł w rynsztok, za nim drugi, trzeci, upuszczając broń i robiąc zamięszanie w całym szeregu.

Wszyscy widzowie wybuchnęli śmiechem. Jakiś dowcipniś krzyknął, że zwycięzcy tarzają się w błocie — tłum znów parsknął śmiechem i już nie było końca żartom i przycinkom.

Widocznie francuzi pogodzili się już z myślą, że miasto zostało wzięte, że nałożono na nie kontrybucję, dlatego tylko że trzech żołnierzy upadło w rynsztok.

Szczęśliwy kraj, który wśród ogólnego nieszczęścia może się śmiać z takich drobiazgów!

Dalszy ciąg wejścia prusaków odbywał się nawet wesoło. Krytykowano broń, umundurowanie, szydzono z niedźwiedziowatej niezgrabności niemieckich gemeinów — słowem, bawiono się.

Jednak znajdowała się w tłumie istota, która nie podzielała ogólnego nastroju.

Była to młoda, zaledwie dwudziestoletnia kobieta.

Rano, na godzinę przed wejściem prusaków do O., przybyła elegancka kareta. Naprzód zatrzymała się ona przed apteką, później koło mieszkania chirurga, wreszcie stanęła przed składem materjałów opatrunkowych.

Znajdujący się w karecie staruszek i młoda osoba cieszyli się widocznie sympatją i poważaniem ogólnem. Zapewne poważanie to należy w pewnej części przypisać jaśniejącym na karecie herbom, lecz przytem młoda osoba była tak piękną, że każdy schyliłby przed nią czoło, gdyby nawet nie była córką księcia. Są twarze, które wzbudzają szacunek. Była to właśnie jedna z takich. Gdy tchórz spojrzy na taką twarz staje się rycerzem, a człowiek odważny zmieni się w bohatera.

Lecz z drugiej strony, strzeż Boże zakochać się w takiej twarzy, jeżeli miłość wzajemną nie będzie. Życie takiego człowieka stanie się piekielną męczarnią, gdyż te cudne rysy nigdy, nigdy zapomnieć się nie dadzą.

Książe, suchy sześćdziesięcioletni staruszek, kulejący na jedną nogę i opierający się na grubej lasce trzcinowej, był legitymistą francuzkim z krwi i kości.

Nie odznaczał się posępnym cynizmem, ale też nie miał żadnej sympatji dla ideałów współczesnych, i dumnie stronił od świata, którego nie rozumiał i nie szanował. Jego charakter i uprzedzenia wyczytać było można z twarzy, niby z księgi otwartej.

Był on dla każdego chłodny, chociaż nadzwyczajnie grzeczny, a w słowach jego drgała ciągle nuta skrytego sarkazmu.

Zbytecznem byłoby dodawać, że jakkolwiek w roku 1870 już Francja korzystała z instytucyj republikańskich, nikt jednak nie nazywał księcia inaczej jak po rodzinnym tytule.

Królowie i cesarzowie mogli się zmieniać, dynastje upadać i konstytucje przeistaczać, ale książę de Brossac, zawsze księciem de Brossac pozostawał.

— Wszystko będzie odesłane do zamku, mości książe — rzekł właściciel składu materjałów opatrunkowych, kłaniając się nisko i odprowadzając go do drzwi karety.

— Niech pan będzie łaskaw nie zapomnieć — mówił książe wsiadając do karety przy pomocy wygalowanego lokaja.

— I przyszlij pan, jak można najprędzej — dorzuciła młoda osoba.

— Jak tylko drogi będą wolne — rzekł kupiec z ukłonem. — Obecnie południe, a armia wkroczyć ma o wpół do pierwszej. Nie sądzę aby bezpiecznie było wysyłać rzeczy natychmiast.

— A ja mniemałem, że armia ma wejść o drugiej dopiero — rzekł książe zdziwiony — umyślnie tak się wybrałem, żeby tego nie widzieć i wrócić na czas do domu...

— Wczoraj w nocy, mości książe, otrzymano rozkaz, żeby przyjąć wojska o godzinie dwunastej...

Kupiec nie miał powodów do nienawidzenia wojny, która owszem cudownie rozwinęła jego handel, a handel w oczach jego był jedynym celem wszystkich dążeń człowieczych. W obecności wszakże księcia de Brossac, którego spojrzenia były wcale nie kupieckie, handlarz materjałów opatrunkowych poczytywał sobie za obowiązek dowieść, że starożytny patryotyzm mieszkańców O. nie zamarł w jego osobie, i rzekł:

— Tak mości książe, straszny dzień przechodzimy dzisiaj. Ja sam mam nakazane przyjąć u siebie w domu rozbójników — sześciu zbójców, mości książe, całych sześciu!

I usiłował smutnie westchnąć, co mu się niezupełnie udało.

— Cóż teraz zrobimy? — zapytał książe córki — musimy przez całe pół dnia pozostać tutaj.

— Jeśli książe pan pozwoli — wtrącił pospiesznie kupiec — mam salon nad samym sklepem od ulicy, przez którą wojsko ma przechodzić. Z okna przepyszny widok.

— O nie! nie! — zawołał książe zagryzając wargi, a twarz jego przybrała wyraz bolesny, podczas gdy w oczach córki błysnęły płomienie gniewu.

— Ja... ja... wcale nie chciałem powiedzieć, że należy przypatrywać się wojsku... nie... byłby to zapewne widok bardzo smutny, ja tylko... chciałem prosić, aby państwo zrobili mi ten zaszczyt i raczyli spocząć chwilkę w moim...

Dźwięk trąb nie pozwolił mu dokończyć. Przez ulicę przeleciał pluton ułanów.

Jeden z żołnierzy kazał aby powóz księcia wjechał w boczną ulicę.

Stangret — anglik, wykonał rozkaz w milczeniu, lecz lokaj stary francuz nie mógł wytrzymać i wybuchnął gradem przekleństw, na które żołnierz nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Kareta stanęła w bocznej uliczce i książe z córką pomimowoli musieli zostać świadkami najboleśniejszej sceny dla gorącego patryoty i mężnego człowieka. Książe wsunął się w głąb karety i usiłował nie patrzyć, córka z początku zrobiła to samo. W krótce jednak nieznana jakaś, przyciągająca siła zdawała się ciągnąć ją gwałtem ku oknu. Patrzyła na prusaków i na tłum z gorzkiem uczuciem boleści, grube łzy płynęły po jej policzkach, drżała jak we febrze.

Kto nie doznawał podobnego uczucia, nie może sobie wyobrazić co dzieje się w sercu człowieka, kochającego ziemię swoją, gdy widzi zwycięzkiego wroga, jak depce tę ziemię nogami.

Patrząc na wejście prusaków córka księcia de Brossac sądziła, że nigdy nie zapomni tego widoku i że spełniona do dna czara hańby, zatruje jej życie na zawsze... Żadne osobiste cierpienie, żaden własny smutek, nie mógł się zwalić na nią tak straszliwie ciężkiem brzemieniem.

Jedyne nieszczęście jakiego w życiu swojem doznała, śmierć matki wzruszyła ją mniej daleko, nawet utrata ojca, jeśli go jej przeżyć sądzono, nie wzbudziłaby w jej sercu tak ciężkiej, tak palącej boleści.

Żołnierze stąpali ciężko — armaty z głuchym turkotem toczyły się po bruku, podkowy końskie wybijały takt miarowy — a wszystkie te dźwięki sprawiały w sercu dziewczęcia jakiś ból fizyczny. Nie mogła wytrzymać dłużej, rzuciła się w kąt karety, a podniósłszy mimowoli głowę, spotkała się z wejrzeniem młodego oficera pruskiego, który już z pół godziny wpatrywał się w jej twarz, jakby przykuty jakąś magnetyczną siłą. Był to młody, może dwudziestoszescioletni człowiek, o nadzwyczaj pięknych rysach twarzy i łagodnem a rozumnem wejrzeniu.

Z wielką gracją siedział on na przepysznym rasowym koniu.

Chociaż córka księcia nie spostrzegła go dotąd, stał on już w tem miejscu dość dawno z sześcioma jeźdźcami na rogu bocznej ulicy. Zapewne pełnił obowiązki kwatermistrza i miał polecenie wstrzymywać tłum. Zapewne z początku patrzył na piękną nieznajomą tak, jak zwykle mężczyźni spoglądają na ładne kobiety, po chwili jednak lekkomyślny uśmiech zniknął z jego twarzy, a wzrok jego wyrażał głęboki żal i szlachetne współczucie.

Chciał on wyprowadzić karetę z bocznej ulicy i tym sposobem uwolnić młodą osobę od tak bolesnego dla niej widoku, lecz z tyłu uliczka nie miała wyjścia, z frontu zaś maszerujące wojsko zagradzało jej drogę.

Kareta więc została jak poprzednio, a oficer wpatrywał się w piękną twarz nieznajomej, gdy zaś wejrzenie jego spotkało się z jej wzrokiem, machinalnie przyłożył rękę do kaska i oddał jej ukłon jak królowej.

Nie odpowiedziała na ukłon. Przy obecnych okolicznościach i w takiej chwili wydał się on obelgą w jej mniemaniu. Zarumieniła się, oficer domyślił się przyczynę tego rumieńca i zbladł.

Po kilku minutach wojsko przeszło i kareta ruszyła z miejsca.

Oficer odprowadził ją wzrokiem. Potem jechał przez miasto smutny, zamyślony, nie zważając na to, że kobiety oglądały się za nim, mówiąc:

— Ten jest wcale niebrzydki, jak na prusaka!

Przed kilkoma godzinami pochlebiało mu to, obecnie wcale na to nie zważał.

Przed ratuszem zatrzymał go oficer z papierem jakimś w ręku.

— Kapitanie — rzekł — masz cudowną kwaterę. Z dwudziestoma innymi oficerami staniesz w zamku Brossac. Wspaniały dom i wspaniała piwnica. Panie hrabio, tak, tak, książe jest najbogatszym człowiekiem w okolicy, a jego córka...

Przybycie innych oficerów przerwało tę rozmowę i kapitan zwróciwszy konia wyjechał z tłumu.

Spotkawszy jakiegoś wyrobnika zapytał go uprzejmie o drogę do zamku.

— Zamek Brossac — odpowiedział robotnik — znajduje się ztąd o małą milkę, jedź pan prosto gościńcem, a zapewne dogonisz książęcą karetę. Tylko co ją widziałem. Śliczna kareta o miękkich, jedwabnych poduszkach. Wstyd przyznać, że za rzeczpospolitej arystokracja rozbija się karetami, a uczciwi robotnicy, tak jak ja naprzykład, muszą chodzić piechotą.

— Czy to nie była czasem kareta zaprzężona gniademi końmi, i czy nie siedziała w niej kobieta?

— To, to... to samo, para gniadych koni, które jadają lepiej niż wielu prawdziwych republikanów, jak ja naprzykład. A ta kobieta, to córka samego księcia, panna Lilia Brossac.

Oficer wsunął rękę do kieszeni i rzucił robotnikowi sztukę złota.

II.

Lilia czyli Lili, jak ją pieszczotliwie nazywano w rodzinie, była jedyną córką księcia de Brossac.

Miała brata, lecz ten zmarł będąc dzieckiem i od tego czasu Lilia stała się wyłącznym przedmiotem miłości i dumy starego księcia.

Była tak kochaną, że każda inna na jej miejscu stałaby się kapryśnem, rozpieszczonem dzieckiem, na nią wszakże nie wywierało to szkodliwego wpływu. Jakkolwiek można powiedzieć, że królowała ona w zamku de Brossac i namniejsze jej życzenie było dla całego otoczenia prawem, jednak korzystała ze swej władzy bardzo rozsądnie i taktownie. Sąsiedzi tylko mówili o niej, że jest dumna. „Bardzo dobra, lecz dumna« powtarzali i ten sąd o jej charakterze był zupełnie słuszny, jeżeli pod wyrazem duma mamy rozumieć pogardę dla wszystkiego co nikczemne i podłe, i wiarę w ideał człowieka wyższego o tyle nad wszystko co istnieje, o ile niebo jest wyższe od ziemi.

Ta wiara zapewne była niby skała podwodna, o którą miał się rozbić jej spokój duszy, gdyż ideały o jakich marzyła nie spotykają się często na morzu życia, niestety!

Nie mogła tego zrozumieć, że najczystsze nawet charaktery, również jak najbardziej błyszczące sztuki złota, nie mogą się obejść bez pewnej przymieszki aliażu.

Poświęciwszy większą część swego czasu czytaniu rycerskich romansów i historji, mając nieustannie przed oczami przykład ojca, którego szlachetność, jeśli tak wolno powiedzieć, dochodziła do pedantyzmu, pragnęła aby wszyscy ludzie byli wzorem męztwa, bezinteresowności i poświęcenia.

Najgorszem zaś było to, że naprzód przypisywała te przymioty nieznajomym, a później rozczarowywała

się naturalnie. Oto przyczyny, dla których piękna, bogata Lilia de Brossac, mając dwadzieścia lat skończonych, była jeszcze panną. Miała co prawda wielu starających się o jej rękę, lecz jeden wydawał jej się za mało odważnym, drugi zanadto lubił pieniądze, trzeci miał nieszczególne maniery i tak dalej. Przyznać trzeba, że Lilia odmawiała ręki swym konkurentom w sposób grzeczny, nieupokarzający i nie dawała im poznać prawdziwej przyczyny odmowy.

Powróciwszy do Brossac, w ów pamiętny dzień wkroczenia prusaków do O., Lilia była w takiem rozdrażnieniu nerwowem, w jakiem ojciec nie widział jej nigdy. Zachowanie się mieszkańców miasta bolało ją daleko więcej, aniżeli klęska narodu.

— O wstyd i hańba! — mówiła z boleścią — wstyd i hańba że w tłumie byli dwudziesto i trzydziestoletni mężczyźni dość bezczelni, aby się przypatrywać obojętnie wrogom lub stroić z nich żarciki, a zbyt małego ducha, ażeby wystąpić do boju.

— O tchórzostwo! podłość! Gdzież się podziała rycerska sława Francji? Podczas podobnej wojny każde domostwo winno stać się fortem, każda wioska niezdobytą twierdzą! Poco zresztą byłyby potrzebne fortyfikacje, gdyby w piersiach naszych zamków wrzało to samo męztwo, taż pogarda śmierci, którą odznaczyli się dzielni obrońcy Saragossy w walce z naszemi wojskami! O nietylko zwyciężeni, lecz pohańbieni jesteśmy! Dziś żadna kobieta na francuza z dumą spojrzeć nie może.

Łzy przerwały słowa dziewczyny, którą ojciec nadaremnie uspokoić usiłował. Było to rzeczywiście trudno dla starego księcia, który sam widział upadek ducha narodowego we Francji. Poniżająca niewola stu tysięcy uzbrojonych ludzi, kapitulacja wielkich miast, upokarzanie się całych korporacyj przed wrogami, a nadewszystko przechwałki prasy i mowców publicznych — do rozpaczy doprowadzały księcia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

WIDMO.

Przed pięciu może tygodniami, jak donoszą dzienniki rosyjskie, zmarł w Odessie niejaki Aleksy Tyraspolskij, żyd przechrzczony. Zostawił on po sobie dom i około 40.000 rs. w gotówce. Pieniądze te, ponieważ Tyraspolskij od 25 lat nie żył z żoną i dzieci nie miał, zapisał on testamentem swym braciom i swej przyjaciółce, z którą od dawna mieszkał. Dotąd wszystko było dobrze, — ale przed tygodniem może rozbiegła się po Odessie pogłoska, że duch Tyraspolskiego w jego własnym domu ukazuje się nocami. Prawie wszyscy mieszkańcy tego domu twierdzą, że ducha widzieli, a stróż domu prawie go się dotykał. Należy dodać, że charakter widma jest dość złośliwy, gdyż psuje i niszczy co może. W obec tego udano się o pomoc do policji. Jaki będzie rezultat walki policji z duchem, nieomieszkamy donieść.

Na razie przyczytamy rzecz z *Gołosu* z dnia 8. bm.: „Piszą do nas z Odessy: Całe nasze miasto zajęte jest mocno ciągłem pojawianiem się ducha w kamienicy pani Tyraspolskiej przy ulicy Krzywej. Duch daje znać o sobie okropnem stukaniem w drzwi pokoju sypialnego pani Tyraspolskiej, jakby kułakiem, następnie przenosi piec żelazny z jednego miejsca na drugie, rozrzuca poduszki i t. p. Dzieje się to codziennie od godz. 6 wieczorem do 2 po północy. Dnia 17. (29.) stycznia właścicielka kamienicy sprowadziła księdza, ażeby ponownie pokropił dom święconą wodą, ale nic nie pomogło. We dwa dni później 31. stycznia dwóch policjantów zasiadło skrycie na ducha, ale nadaremnie, nie złapali i nie widzieli nikogo, ale słyszeli także stuk we drzwi i byli świadkami przenoszenia pieca z miejsca na miejsce przez niewidzialną jakąś istotę. Nazajutrz 1. lutego 10 oficerów, znajomych pani Tyraspolskiej, czekało na pojawienie się ducha. Jeszcze było za wcześnie, zaczęli więc grać w karty. W tem około godz. 7 wieczorem duch jak zwykle począł walić w drzwi. Zerwali się oficerowie, skoczyli do drugiego pokoju i mimo najstaranniejszego szukania nie znaleźli nikogo. Lecz gdy tak zajęci byli zaglądaniem pod kanapę i za piec drugiego pokoju, nagle dało się słyszeć silne uderzenie w stolik do kart, na którym grali, lampa zgasła, jakby ją kto zdmuchnął, przerażenie ogarnęło wszystkich i oficerowie z bronią u boku uciekli ze strachu wielkiego. W kamienicy z wyjątkiem samej właścicielki, krzyczącej co nocy: „Grzegorzu nie męcz mnie!“ (Grzegorzem nazywał się mąż nieboszczyk), i stróża nikt więcej nie mieszka, bo wszyscy lokatorowie pouciekali. Codziennie zbiera się po 10 lub 15 śmiałków, aby złapać ducha, lecz wszyscy uciekają ze strachu, tak samo jak oficerowie. We dnie mnóstwo ciekawych przychodzi do tej kamienicy pytać o ducha, lecz stróż z rozkazu naturalnie swej pani powiada, że żadnego niema ducha. Mimo tych zapewnień, kamienica po dawnemu pusta, chociaż właścicielka niesłychanie obniżyła cenę, oddając 5 dużych pokojów z kuchnią za 10 rubli. Stróż co wprzód pobierał 7 rubli miesięcznie dziś pobiera 20 rubli.“

TRYUMFATOR.

Niedawno w berlińskim domu obłąkanych, podczas zwykłej przechadzki pacjentów, człowiek wysokiego wzrostu i znacznej siły zdołał się niepostrzeżenie wedrzeć na wierzchołek wysokiego drzewa.

Miejsce to zdało mu się tak miłem i przyjemnem, że nie chciał go wcale opuścić.

Próżno go przekonywano, ażeby zeszedł na dół...

Warjat odpowiadał na wszystko dzikim śmiechem, uzbroiwszy się przed napaścią kawałem gałęzi.

Tak przeszło parę godzin...

Potem, z porady lekarzy, przyniesiono sikawkę, ażeby strumieniem zimnej wody ochłodzić zapał pacjenta.

Lecz wszystko było bezskuteczne.

Widocznie obłąkanemu strumień zimnej wody sprawiał jedynie przyjemność.

Kiedy wreszcie po 25 minutach sikawkę wstrzymano, warjat zaczął na cały głos wołać „jeszcze, jeszcze.“

Wzięto się znów do przekonywania.

Po 4 godzinnem przekładaniu obłąkany zgodził się wreście na zejście z drzewa, ale pod warunkiem, ażeby przyklaśnięto jego czynowi.

Propozycja została przyjętą — i pacjent zlazł z drzewa przy ogólnych oklaskach i krzykach: „wiwat!...“

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.